

Pustka po Annie Przybylskiej

Kiedy umiera ktoś tak młody, piękny i pełen życia jak Anna Przybylska, wszyscy jesteśmy wstrząśnięci, metafora "niezbadane są wyroki boskie" jest tutaj jak najbardziej na miejscu, choć miałoby się ochotę powygrażać bogom. Oznacza to ból, rozpacz, żalobę dla kręgu najbliższych, ale także smutek dla nas, którzy znaliśmy ją z ekranu... albo lepiej powiem za siebie, dla mnie to żal człowieka znanego, sympatycznej aktorki, pięknych zdjęć z okładek pism, które kupowałam, lub, częściej, które mi migały w kioskach czy u fryzjera. Teraz uświadamiam sobie, jak mało ją znałam, "Złotopolskich" oglądałam kiedyś z przyjemnością, ale było to jeszcze wtedy, gdy żył Henryk Machalica, czyli, muszę sprawdzić... przed 2003 (!) rokiem, jak to już dawno! Nawet nie byłam tego świadoma!

Przestałam oglądać seriale (poza krótkimi, jak ten o Annie German czy Domenico Modugno...), bo nie lubię, gdy coś zagarnia moje myśli, a tak właśnie robią tasiemcowe seriale, nie chcę im poświęcać tyle uwagi nawet jeśli są bardzo dobre (jak "Złotopolscy", uznani kiedyś za najlepszy serial polski, ostatnio opłakiwaliśmy także innego bohatera serialu, zmarłego tragicznie Grzegorza Komendarka...). Nie widziałam też chyba żadnego filmu z Anną Przybylską, a przynajmniej żadnego, który bym zapamiętała. No, tak, "Lekcja pana Kuki", "Dzień świra"..., te dwa widziałam, zagrała w nich epizody, których nie pamiętam na tyle, żeby spontanicznie wymienić te dwa tytuły. Tak naprawdę była obecna w tzw. przestrzeni publicznej i w którymś momencie dotarło i do mnie, że walczy z poważną chorobą, a z programu "Tomasz Lis na żywo" dowiedziałam się, że walczy z natręctwem popularności.

Wczoraj, dopiero po późnej gali Nike w TV, czyli przed północą, dowiedziałam się o jej śmierci. Andrzej Grabowski, skądinąd bliski mi człowiek, który właśnie czytał fragment prozy Jerzego Pilcha w trakcie uroczystości przyznania nagrody, wspominał ją, niedawno z nią grał (w "Bilecie na księżyc", 2013), była taka żywa, że trudno uwierzyć w jej śmierć, mówił. Teraz słyszę, że była, czy też stała się bardzo wierząca, wypowiedziała się (to pewnie po dłuższej przerwie, skoro tak się to podkreśla?). Kilka dni temu z kolei oglądałam wywiad z wdową po prezydencie "na uchodźstwie", Karoliną Kaczorowską, Ryszard Kaczorowski miał 90 lat, gdy zginął w katastrofie samolotu 10 kwietnia 2010 roku.

Pani Kaczorowska zwierzyła się, że po śmierci męża bardzo pomogła jej wiara, ale dodała coś, co mnie przystopowało i o czym tu i teraz chcę napisać. Otóż pani Kaczorowska stwierdziła, że ludzie wierzący mają na pocieszenie wiarę, niewierzący zaś mają pustkę, więc żadnej pociechy. Ponieważ zaliczam się do tych, którzy jakoby mają "pustkę", bo nie należę do ludzi wierzących i nie w wierze szukam pocieszenia, chcę powiedzieć, że to nie pustkę mam tam, gdzie inni mają wiarę. Mam tam całe mnóstwo przemyśleń, które mnie jak najbardziej pocieszają, chociaż inaczej, niż gdybym się odwoływała do Boga, np. takich: śmierć jest końcem życia dla zmarłych i doświadczeniem dla żywych, doświadczeniem dojmującym, transcendentalnym z tych najbardziej bolesnych (bo są i bardzo przyjemne przeżycia transcendentalne, jak choćby podczas kontaktu z wyjątkową sztuką, muzyką, książką, filmem, obrazem... czy też podczas aktu kreacji... czy znalezienia się w jakimś szczególnym miejscu na ziemi... w szczególnej sytuacji... czy, oczywiście, w relacji z drugim człowiekiem...).

Przeżycie transcendentalne ma w sobie (dla mnie) coś z "dotknięcia Boga", z tym że w sensie metaforycznym. W sensie emocjonalnym to doznanie, którego przeżycie mnie zmienia, tworzy, mam tego świadomość, więc poddaję się temu. Nie chcę wtedy żadnych środków znieczulających, zauważyłam zresztą (dzięki temu, że nic nie biorę), że organizm sam produkuje środki znieczulające, co też było (dla mnie) niezwykle odkryciem (nie mam na myśli bólu fizycznego). Rozumiem, że można - w ramach znieczulenia - szukać pocieszenia w wierze, zatracić się w modlitwie, lub upić się, lub wziąć tabletki na sen i przespać najgorsze, lub... lub... Rozumiem to. Każdy szuka swoich sposobów. Moim sposobem jest obserwowanie tego, co serwuje mi mój umysł, mózg, mój organizm (niedawną śmierć psa ciągle odchorowuję). Pamiętam, na pogrzebie mojego taty w grudniu 1993 roku - a był mi bliski i potrzebny, podobnie jak mama, jak powietrze - pomyślałam sobie, że od teraz czas będzie mnie coraz bardziej od niego oddalał, jego śmierć będzie dla mnie coraz mniej bolesna... i to mnie najbardziej wtedy zabolowało. Że przestanie boleć, choć przecież powinno boleć, nie chciałam pocieszać się myślą, że "czas leczy rany". Wręcz przeciwnie, ta myśl mnie zezłościła, nie chciałam, żeby to trudne do zniesienia poczucie straty odchodziło w

przeszłość i traciło na intensywności. Choć tak się siłą rzeczy stało. I bardzo dobrze, że czas jednak zbliznia rany, a życie wypełnia pustkę po zmarłych.

Śmierć. Tak się składa, że wczoraj przez kilka godzin oglądałam rysunki artysty wybitnego, malarza i rysownika najwyższej rangi, Mariana Siwka, ojca artysty-malarki, Iwony Siwek-Front, to razem z nią w jej pracowni robiliśmy przegląd serii rysunków w kontekście cyklu rozmów z prof. Jerzym Vetulanim, neurobiologiem, na temat mózgu. Marian Siwek ilustrował (gęsim lub mewim piórem!) śmierć, a raczej powolne umieranie w wyniku długiej i okrutnej choroby swojej siostry Karoliny, niemłodej, ale przecież nie starej kobiety. Wszystkie rysunki są dokładnie opisane, jeden z nich np. "BYĆ KALEKĄ TO ZNACZY UMIERAĆ DOKŁADNIE". Cóż, śmierć jest cholernie pomysłowa i zupełnie nie liczy się z bólem, jaki zadaje, z uczuciami organizmów, które zabija. I choć robi spustoszenie (nawet jeśli czasami bywa wybawieniem), to jednak tych, których chwilowo omija, doświadcza nie tylko uczuciem rozpacz i bezsilności, ale także odczuciem do żywego, że żyją. Tak, to truizm, ale przecież *memento mori* odnosi się wyłącznie do żywych i to żywych rozumujących, zwierzęta nie mają tego przywileju. Myślę, że zapominanie o tym jest powodem, że przeżywa się swoje życie jakby się mniej żyło. Pamiętanie o śmierci jest dobre, bardzo dobre. Tylko wtedy hierarchia wartości jest właściwa. Tak myślę, choć nic mi do tego, kto sobie co i jak ustawia (o ile mnie nie dotyczy).

Marian Siwek rysował w ostatniej dekadzie swojego życia swoją umierającą siostrę sam popadając w chorobę Alzheimera. To wstrząsające dzieła sztuki! Z kolei w słynnym cyklu szwajcarski malarz Ferdinand Hodler (1853-1919) malował swoją umierającą ukochaną Valentine Gode-Darel. *"W 1908 r. Hodler poznał Valentine Godé-Darel, która została jego kochanką. Kiedy w 1913 r. Valentine zachorowała na raka, Hodler spędził wiele godzin opiekując się i czuwając przy chorej. To doświadczenie zaowocowało niezwykłym cyklem obrazów, dokumentujących powolną degradację jej ciała. Śmierć Valentine w styczniu 1915 bardzo dotknęła Hodlera. Pogrążył się w pracy tworząc serię około 20 introspekcyjnych autoportretów datowanych na 1916 rok."* (z Wikipedii)

Śmierć najbliższych jest doświadczeniem transcendentnym czy jest się wierzącym, czy nie. Tak sędzę. Ma też wiele wspólnego z "dezintegracją pozytywną", teorią zdrowia psychicznego stworzoną przez psychologa Kazimierza Dąbrowskiego [1]. I choć może też zapoczątkować degrengoladę, u artystów może wyzwalać dodatkowe siły twórcze. Wczoraj wieczorem, tuż przed galą Nike w telewizji, dowiedziałam się też, że mój były (drugi) mąż jest ciężko chory. Ma 77 lat, choruje od kilku lat, oprócz tego, że był nauczycielem języków obcych, jest malarzem-artystą. Gdy widziałam się z nim ostatni raz, dwa lata temu, w jego zuryskiej pracowni - pozostając w dobrych kontaktach z ludźmi, których kochałam - pokazywał mi swoje obrazy, dużo obrazów, mówił, że maluje jak szalony, musi się śpieszyć, bo ból rąk (cierpi m. in. na artrozę) wkrótce uniemożliwi mu malowanie.

Pewnie, śmierć tak młodej osoby, jak Anna Przybylska, w kwiecie wieku, u szczytu sławy, kochanej żony, matki trójki małych dzieci, budzi sprzeciw i porażające uczucie bezsilności (nie chcę sobie wyobrazić, co przeżywają teraz jej najbliżsi). Ale była, żyła, wzbogacała życie innych, bliskich, dalszych... I w tym właśnie jest sens. W tym, że żyła i jaka była. Nie w tym, że umarła, bo to tylko nieodłączna konsekwencja życia. Jasne, mogła żyć do samej starości i długo jeszcze wzbogacać świat, odchowac dzieci, dożyć dzieci dzieci, zrobić wiele filmów, może bardziej zapamiętywalnych. Ale jej przedwczesna śmierć jest też tym, co wrzyna się kolejnym doświadczeniem życia w nasze życie. Oczywiście nie życzylibyśmy sobie tego, nawet bardzo nie, ale tak jest i już. I to "i już" każdego z nas dotyczy. Żal dziewczyny, żal jej bliskich, żal wyrwy w historii kina, ale żal należy do życia. Znieczulanie go też. Można to robić przy pomocy modlitwy. Można. Tym bardziej, że nasza kultura nas tego uczy. Ale można też przyzwoleniem bez znieczulenia na żal i żałobę bez modlitwy. Dla mnie, ale dla mnie (!!!), byłoby to oszukiwaniem się, samookłamywaniem się. Lecz nie zarzekam się. Kto wie, czy kiedyś nie sięgnę po ten rodzaj leku na ból?...

Marian Siwek jeden ze swoich rysunków podpisał "MOJA SIOSTRA UMIERA POWOLI ŻEBY ŻYĆ U PANA NASZEGO AMEN". Jego córka dodała wyjaśniająco, że był wierzący jak wierzący są niewierzący artyści, wierzą w transcendentny wymiar życia, Kościoła jako instytucji nie lubił (tak jak nie kochał komunistów), ale sięgał po religijne metafory, memy będące własnością każdego.

*

Wrzucam ten tekst... telefon, dzwoni komórka, Iwona mówi mi, że nie żyje Igor Mitoraj... RIP...

*